

LEE  
CHILD

JUTRO MOŻESZ  
ZNIKNAĆ

Jack  
Reacher



# 1

Zamachowców-samobójców łatwo rozpoznać. Zdradzają ich różne oznaki. Głównie to, że są zdenerwowani. Z samej definicji są nowicjuszami.

Izraelski kontrwywiad sporządził specjalny instruktaż. Mówią tam, czego wypatrywać. Na podstawie obserwacji oraz badań psychologicznych sporządzili listę behawioralnych wskazówek. Przedstawił mi ją dwadzieścia lat wcześniej izraelski kapitan. Wierzył, że jest prawdziwa. Ja też w nią uwierzyłem, ponieważ w trakcie mojej trzytygodniowej misji nie oddalałem się od niego na krok, w autobusach, w sklepach i na zatłoczonych chodnikach, w samym Izraelu, w Jerozolimie, na Zachodnim Brzegu, w Libanie, czasami w Syrii i niekiedy w Jordanii. Miałem oczy szeroko otwarte i stale przebiegałem myślami poszczególne punkty listy.

Dwadzieścia lat później nadal ją pamiętałem. I nadal miałem szeroko otwarte oczy. Z czystego przyzwyczajenia. Ktoś nauczył mnie innej mantry: Miej szeroko otwarte oczy, ale nie patrz, miej nadstawione uszy, ale nie słuchaj. Im bardziej się angażujesz, tym dłużej pożyjesz.

Lista miała dwanaście punktów, jeśli podejrzany był mężczyzną. Jedenaście, jeśli był kobietą. Dodatkowy „męski” punkt dotyczył ogolonych policzków. Mężczyźni gołą przed zama-

chem brody. Pomaga im to wtopić się w tłum. W rezultacie mają bledszą dolną połowę twarzy, ponieważ do niedawna nie była wystawiona na słońce.

Kwestia golenia była jednak w tym wypadku nieistotna.

Sprawdzałem jedenaście punktów.

Obserwowałem kobietę.

Jechałem nowojorskim metrem. Linią numer sześć, wzdłuż Lexington Avenue, na północ, o drugiej w nocy. Wsiadłem na stacji Bleecker Street, na południowym krańcu peronu, do wagonu, w którym było tylko pięć osób. Wagony metra wydają się małe i przytulne, kiedy są pełne. Kiedy są puste, robią wrażenie wielkich i przestronnych. Człowiek czuje się w nich samotny. Lampy w nocy wydają się jaśniejsze i gorętsze, mimo że to te same lampy, które palą się w dzień. W nocy dają światło jedynie one. Siedziałem na dwumiejscowej ławce na północ od ostatnich drzwi, po lewej stronie wagonu. Pięcioro innych pasażerów siedziało na południe ode mnie, każdy osobno, na długich ławkach, troje po lewej, dwoje po prawej stronie. Byli odwróceny do mnie profilem i wpatrywali się prosto przed siebie.

Wagon miał numer 7622. Przejechałem kiedyś osiem przystanków linią numer sześć z pewnym zapaleńcem, który opowiadał o zajmowanym przez nas wagonie z entuzjazmem, jaki mężczyźni rezerwują na ogół dla kobiet i dyscyplin sportowych. Dlatego wiedziałem, że wagon numer 7622 jest typu R142A, należy do najnowszych w nowojorskim metrze i wyprodukowano go w fabryce Kawasaki w Kobe w Japonii, przetransportowano statkiem i koleją do zajezdni przy Dwieście Siódmej Ulicy, a następnie ustawiono na torach, odholowano do Sto Osiemdziesiątej Ulicy i przetestowano. Wiedziałem, że może przejechać dwieście tysięcy mil bez głównego przeglądu i że instrukcje są wygłaszane głosem męskim, a informacje kobiecym, co jak twierdzono, wynikało z przypadku, lecz w rzeczywistości było celowe, ponieważ szefowie transportu miejskiego uznali, że taki podział pracy jest psychologicznie uzasadniony. Wiedziałem, że są to głosy ludzi z telewizji Bloomberg, jednak

nagrano je kilka lat wcześniej, zanim Michael został burmistrzem. Wiedziałem, że w metrze jeździ sześćset wagonów typu R142A i każdy ma trochę ponad pięćdziesiąt jeden stóp długości i trochę ponad osiem stóp szerokości. Wiedziałem, że w niemającym kabiny maszynisty wagonie, którym jechaliśmy wtedy i którym jechałem teraz, znajduje się czterdzieści miejsc siedzących i do stu czterdziestu ośmiu stojących. Mój zapaleniec był absolutnie pewien tych wszystkich danych. Mogłem się sam przekonać, że siedzenia są z niebieskiego plastiku w tym samym odcieniu co mundur brytyjskich sił powietrznych albo niebo pod koniec lata. Widziałem, że ścianki są zrobione z odpornego na graffiti włókna szklanego. Widziałem dwa paski ogłoszeń w miejscu, gdzie panele ściennie stykały się z sufitem: małe kolorowe plakaty reklamujące programy telewizyjne, kursy językowe, proste sposoby uzyskania dyplomu wyższej uczelni oraz okazje na szybki zarobek.

Zobaczyłem również oficjalne obwieszczenie. „Jeśli coś widzisz, daj znać”, radziła policja.

Najbliżej mnie była nieduża Latynoska. Siedziała po drugiej stronie wagonu, na lewo ode mnie, sama na ławce przeznaczonej dla ośmiu osób, bliżej jej skraju. Robiła wrażenie bardzo zgrzanej i wyczerpanej i mogła mieć od trzydziestu do pięćdziesięciu lat. Na nadgarstku trzymała porządnie zużytą torbę z supermarketu i wpatrywała się w puste miejsce przed sobą oczyma, które były zbyt zmęczone, żeby cokolwiek zobaczyć.

Może cztery stopy dalej po drugiej stronie na ośmiomiejscowej ławce siedział mężczyzna. Mógł pochodzić z Bałkanów albo znad Morza Czarnego. Ciemne włosy, poryta zmarszczkami skóra. Muskularny i ogorzały od pracy na świeżym powietrzu, szeroko rozstawił stopy i pochylał się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Nie spał, ale był bliski zaśnięcia. Zwolnione procesy życiowe, ciało kołyszące się w rytmie pociągu. Mniej więcej pięćdziesięcioletni, ubrany był w rzeczy, jakie noszą zwykle ludzie o wiele od niego młodszy: workowate džinsy sięgające mu do łydek, i za dużą bluzę NBA z nazwiskiem zawodnika, którego nie znałem.

Trzecia była kobieta. Mogła pochodzić z zachodniej Afryki. Zmęczona i nieruchoma siedziała po lewej stronie, na południe od środkowych drzwi. Jarzeniówki i znużenie sprawiały, że jej czarna skóra wydawała się przykurzona i poszarzała. Miała na sobie kolorową batikową sukienkę i pasującą do niej chustkę. Jej oczy były zamknięte. Znam Nowy Jork w miarę nieźle. Uważam się za obywatela świata, a Nowy Jork jest dla mnie jego stolicą, więc orientuję się w tym mieście tak samo dobrze jak Brytyjczyk orientuje się w Londynie, a Francuz w Paryżu. Znam jego obyczaje nieźle, lecz nie od podszewki. Mimo to łatwo było zgadnąć, że trzy dowolne osoby jadące nocnym metrem linii sześć na północ są sprzątaczkami wracającymi do domu po wieczornej zmianie w okolicy City Hall względnie pomywaczami z restauracji położonych w Chinatown albo Little Italy. Zmierzali prawdopodobnie do Hunts Point w Bronksie, a może aż do Pelham Bay, żeby się szybko zdrzemnąć i być gotowym na wezwanie w kolejnym dniu.

Pasażerowie numer cztery i pięć byli inni.

Piąty był mężczyzną. Mniej więcej w moim wieku, siedział bokiem na dwuosobowej ławce w drugim końcu wagonu, dokładnie po mojej przekątnej. Płócienne spodnie i golfowa koszulka, które miał na sobie, były utrzymane w swobodnym stylu, ale kosztowały sporo forsy. Patrzył przed siebie. Bez przerwy mrużył i otwierał szerzej oczy, jakby coś kombinował. Przypominały mi oczy futbolisty. Widać w nich było spryt i chłodne wyrachowanie.

Przede wszystkim jednak obserwowałem pasażerkę numer cztery.

*Jeżeli coś zobaczysz, daj znać.*

Siedziała po prawej stronie wagonu, sama na ostatniej ośmioosobowej ławce, mniej więcej w połowie drogi między zmęczoną kobietą z zachodniej Afryki i facetem o oczach futbolisty, siedzącymi po drugiej stronie. Biała, około czterdziestki. Zwyczajna. Czarne włosy, za ciemne, żeby to mógł być ich naturalny kolor, schludnie, lecz niezbyt modnie przycięte. Cała ubrana

na czarno. Facet siedzący najbliżej mnie nadal pochylał się do przodu i widziałem ją dość dobrze w trójkącie między jego zgiętymi plecami i ścianą wagonu.

Widok nie był idealny, bo zasłaniały go częściowo uchwyty z nierdzewnej stali, wystarczył jednak, bym stwierdził występowanie prawie wszystkich punktów z izraelskiej listy. Zapalały się niczym wisienki w automacie z Las Vegas.

Według izraelskiego kontrwywiadu patrzyłem na zamachowca-samobójcę.

## 2

Natychmiast odsunąłem od siebie tę myśl. Nie z powodu jej rasy. Białe kobiety są tak samo podatne na obłąd jak ktokolwiek inny. Odsunąłem od siebie tę myśl z powodu taktycznego nieprawdopodobieństwa. To nie była odpowiednia pora. Nowojorskie metro jest znakomitym celem samobójczego zamachu, a pociąg linii numer sześć chyba najlepszym z możliwych. Zatrzymuje się pod dworcem Grand Central. O ósmej rano względnie o szóstej wieczorem w wagonie z czterdziestoma osobami siedzącymi i stu czterdziestoma ośmioma stojącymi wystarczy zaczekać, aż otworzą się drzwi na zatłoczony peron, i nacisnąć guzik. Stu zabitych, kilkuset rannych, poważne szkody w infrastrukturze, możliwy pożar, główny węzeł komunikacyjny zamknięty na kilka dni albo tygodni, być może na zawsze nadszarpnięte zaufanie. Duży sukces dla ludzi, których umysły funkcjonują w sposób nie do końca dla nas zrozumiały.

Ale nie o drugiej w nocy.

Nie w wagonie, w którym jest tylko sześć osób. Nie, kiedy na peronach stacji metra Grand Central hulają śmieci i puste filiżanki, a na ławkach siedzi dwóch bezdomnych.

Pociąg zatrzymał się na stacji Astor Place. Drzwi otworzyły się z sykiem. Nikt nie wsiadł. Nikt nie wysiadł. Drzwi się zamknęły, silniki zawyły i pociąg ruszył dalej.

Wszystkie punkty nadal się zgadzały.

Pierwszy był dość oczywisty: nieodpowiedni strój. Pasy z materiałami wybuchowymi są stale udoskonalane podobnie jak baseballowe rękawice. Bierze się mający trzy na dwie stopy odcinek ciężkiego płótna, składa go wzdłuż i otrzymuje długą kieszeń o głębokości jednej stopy. Owija się zamachowca płótnem i zszywa je na jego plecach. Zamek błyskawiczny albo spinki mogą sprawić, że zacznie się zastanawiać. Do kieszeni wkłada się wszędzie naokoło laski dynamitu, łączy przewodami, wciska w szpary gwoździe albo łożyska kulkowe, zszywa górę kieszeni, dodaje proste pasy na ramiona, żeby utrzymały ciężar. Skuteczne, ale zabiera dużo miejsca. Jedynym praktycznym sposobem, żeby to zamaskować, jest obszerne ubranie, na przykład zimowa puchowa kurtka. Nigdy niestanowiąca odpowiedniego ubioru na Bliskim Wschodzie. W Nowym Jorku dopuszczalna przez trzy na dwanaście miesięcy.

Mieliśmy jednak dopiero wrzesień, było ciepło jak w lecie, a w metrze dziesięć stopni ciepłej. Ja byłem ubrany w T-shirt. Pasażerka numer cztery siedziała w długiej kurtce North Face, czarnej, grubej, błyszczącej, trochę zbyt dużej i zapiętej pod samą szyją.

*Jeśli coś zobaczysz, daj znać.*

Darowałem sobie drugi z jedenastu punktów. Nie miał bezpośredniego zastosowania. W drugim punkcie mówi się o chodzie przypominającym robota. To jest istotne w punkcie kontrolnym, na zatłoczonym targu, przed kościołem albo meczetem, ale nie, gdy osoba siedzi w środkach transportu publicznego. Zamachowcy stąpają jak roboty nie dlatego, że wpadają w ekstazę na myśl o rychłym męczeństwie, lecz ponieważ nie nawykli do dźwigania dodatkowych czterdziestu funtów zawieszonych na wrzynających im się w ramiona pasach i znajdują się pod działaniem narkotyków. Perspektywa męczeństwa jest umiarkowanie pociągająca. Większość zamachowców to zastraszeni prostacy z kostką surowej pasty opiumowej między dziąslami i policzkiem. Wiemy o tym, ponieważ pasy wypełnione dyna-



mitem eksplodują z charakterystyczną, przypominającą kształtem pączek falą ciśnieniową, która w ułamku nanosekundy zwija tors w górę i odrywa głowę. Ludzka głowa nie jest przyśrubowana do karku. Spoczywa na nim, trzymając się na skórze, mięśniach, ścięgnach oraz więzadłach, ale te wiotkie biologiczne kotwice na niewiele się zdają w obliczu gwałtownej reakcji chemicznej. Mój izraelski mentor powiedział, że najłatwiejszym sposobem ustalenia, czy wybuch spowodował samobójca, czy też bomba pozostawiona w samochodzie lub paczce, jest sprawdzenie, czy w promieniu dziewięćdziesięciu stóp od wybuchu nie ma oderwanej ludzkiej głowy, w dziwny sposób nienaruszonej i nieuszkodzonej, niekiedy nawet z kostką pasty opiumowej między dziąsłami i policzkiem.

Pociąg zatrzymał się na Union Square. Nikt nie wsiadł. Nikt nie wysiadł. Gorące powietrze wpadło do wnętrza wagonu i zderzyło się z klimatyzowanym. A potem drzwi ponownie się zamknęły i ruszyliśmy dalej.

Punkty od trzeciego do szóstego są wariacjami na jeden temat. Dotyczą drażliwości, pocenia się, tików oraz nerwowego zachowania. Moim zdaniem pocenie się wynika w równym stopniu z wysokiej temperatury jak z nerwów. Wpływ ma na to także niewłaściwy ubiór i dynamit, który jest miazgą drzewną nasączoną nitrogliceryną i uformowaną w laski wielkości batoników. Miazga drzewna jest dobrym izolatorem ciepła. Dlatego zamachowiec się poci. Tak czy inaczej drażliwość, tiki oraz nerwowe zachowanie to wartościowe wskazówki. Ci ludzie znajdują się w ostatnim, dziwnym momencie swojego życia, są załęcznieni, otumanieni narkotykami, przerażeni czekającym ich bólem. Irracjonalni z samej definicji. Wierząc, nie do końca wierząc, bądź też w ogóle nie wierząc w raj, rzeki mlekiem i miodem płynące, bujne pastwiska i czekające tam na nich hurysy, są poddani ideologicznej presji albo starają się spełnić oczekiwania znajomych i rodziny. I nagle wchodzą w to zbyt głęboko i nie mogą się już cofnąć. Przechwalanie się na tajnych zebraniach to jedno, sam zamach coś całkiem innego. Stąd widoczne oznaki tłumionej paniki.

Pasażerka numer cztery zdradzała je wszystkie. Wyglądała dokładnie jak kobieta, której życie dobiega końca, i było to tak samo pewne i oczywiste jak to, że pociąg zmierzał do końcowej stacji.

Z tego względu zwróciłem uwagę na punkt siódmy: oddech.

Kobieta dyszała cicho i w kontrolowany sposób. Wdech, wydech, wdech, wydech. Przypominało to technikę, która ma zmniejszyć ból podczas porodu, objawy głębokiego szoku bądź też ostatnią desperacką próbę, żeby nie wrzeszczeć ze strachu i przerażenia.

Wdech, wydech, wdech, wydech.

Punkt ósmy: zamachowcy-samobójcy, którzy mają zamiar się wysadzić, patrzą wprost przed siebie. Nikt nie wie dlaczego, ale poświadczają to zapisy z kamer wideo i zeznania ocalałych świadków. Zamachowcy patrzą prosto przed siebie. Może czują, że znaleźli się w impasie, i boją się interwencji. Może podobnie jak psy i dzieci uważają, że jeśli nie widzą nikogo, nikt ich nie widzi. Może resztki sumienia nie pozwalają im patrzeć na tych, których mają zamiar zlikwidować. Nikt nie wie dlaczego, ale wszyscy to robią.

Pasażerka numer cztery też to robiła. Z całą pewnością. Wpatrywała się w szybę naprzeciwko tak intensywnie, że mogłaby wypalić w niej dziurę.

Punkty od jednego do ósmego zaliczone. Siedząc na ławce, pochyliłem się do przodu.

I znieruchomiałem. Pomysł był taktycznie rzecz biorąc absurdalny. Zła pora.

A potem ponownie na nią spojrzałem. I ponownie się pochyliłem. Ponieważ zgadzały się również punkty dziewiąty, dziesiąty i jedenasty, które były najważniejsze ze wszystkich.

# 3

Punkt dziewiąty: odmawiane pod nosem modlitwy. Do tej pory wszystkie znane ataki były inspirowane albo uzasadniane względami religijnymi, prawie wyłącznie względami islamu, a muzułmanie przywykli do tego, by publicznie się modlić. Ocalali świadkowie mówią o długich inkantacjach powtarzanych bez końca mniej lub bardziej głośno i o wyraźnie poruszających się wargach. Pasażerka numer cztery robiła to z naprawdę dużą determinacją. Wpatrzona w jeden punkt poruszała ustami, recytując rytualną frazę, która powtarzała się mniej więcej co dwadzieścia sekund. Może przedstawiała się bóstwu, które spodziewała się spotkać w zaświatach. Może przekonywała samą siebie, że naprawdę jest jakieś bóstwo i jakieś zaświaty.

Pociąg zatrzymał się na stacji przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Drzwi się otworzyły. Nikt nie wysiadł. Nikt nie wsiadł. Przeczytałem zawieszone nad peronem czerwone napisy, które wskazywały drogę do wyjścia: Dwudziesta Druga Ulica i północno-wschodni róg Park Avenue, Dwudziesta Trzecia i południowo-wschodni róg Park Avenue. Niczym się niewyróżniający fragment Manhattanu, który nagle stał się atrakcyjny.

Pozostałem na swoim miejscu. Drzwi się zamknęły. Pociąg ruszył dalej.

Punkt dziesiąty: duża torba.

Dynamit jest stabilnym materiałem wybuchowym, póki jest świeży. Nie wybucha przypadkiem. Trzeba go zdetonować przy użyciu zapalników. Te z kolei są połączone lontem detonacyjnym ze źródłem energii oraz ze stykami. Wielkie wajchy ze starych westernów łączyły ze sobą te dwie funkcje. Ich przesunięcie łądowało dynamo podobnie jak to się dzieje w polowym telefonie. Następnie włączane były styki. Rozwiązanie niezbyt praktyczne, gdy materiał wybuchowy jest przenoszony. Wtedy potrzebna jest bateria. Do lontu długości jednego jarda musi mieć trochę więcej woltów i amperów. Małe baterijki „paluszki” dają słabe półtora wolta. Według powszechnego przekonania to za mało. Lepsza jest bateria dziewięciowoltowa, ale żeby naprawdę kopnęło, trzeba użyć dużej kwadratowej, wielkości puszkę po zupie, takiej, jaką wkłada się do silnych latarek. Jest zbyt duża i ciężka, by schować ją do kieszeni, stąd torba. Baterię wkładamy na dno torby, przewody łączą ją ze stykami, a potem wychodzą przez dyskretne przecięcie w torbie i biegną pod skraj nieodpowiedniego ubioru.

Pasażerka numer cztery miała czarną brezentową torbę kurierską w stylu miejskim, którą przewiesiła przez ramię i położyła sobie na kolanach. Sposób, w jaki wybrzuszał się i marszczył sztywny materiał, wskazywał, że jest w niej tylko jeden ciężki przedmiot.

Pociąg zatrzymał się przy Dwudziestej Ósmej Ulicy. Drzwi się otworzyły. Nikt nie wsiadł. Nikt nie wysiadł. Drzwi zamknęły się i ruszyliśmy dalej.

Punkt jedenasty: ręce schowane w torbie.

Dwadzieścia lat temu punkt jedenasty był nowością na liście. Wcześniej lista kończyła się na punkcie dziesiątym. Ale świat się zmienia. Akcja wywołuje reakcję. Izraelskie siły bezpieczeństwa, a także niektórzy odważni obywatele przyjęli nową taktykę. Jeśli nabrałeś podejrzeń, nie uciekałeś. Tak naprawdę nie miało to sensu. Nie sposób uciec przed szrapnelem. Zamiast tego łapałeś podejrzanego w desperacki niedźwiedzi uścisk. Przyciskałeś mu ręce do boków. Nie pozwalałeś mu nacisnąć

guzika. Udaremiono w ten sposób kilka zamachów. Ocalono wiele istnień ludzkich. Niestety, zamachowcy też się czegoś nauczyli. Teraz instruowano ich, żeby trzymali przez cały czas palec na guziku. W takiej sytuacji niedźwiedzi uścisk nic nie daje. Guzik jest w torbie, przy baterii. Dlatego zamachowiec trzyma ręce w torbie.

Pasażerka numer cztery trzymała obie ręce w torbie. Kłapa wyginała się i marszczyła między jej nadgarstkami.

Pociąg zatrzymał się przy Trzydziestej Trzeciej Ulicy. Nikt nie wysiadł. Stojąca na peronie samotna pasażerka zawahała się, a potem przeszła kilka kroków w prawo i wsiadła do sąsiedniego wagonu. Odwróciłem się, zerknąłem przez małe okienko za moją głową i zobaczyłem, że usiadła blisko mnie. Dzielili nas dwie ścianki z nierdzewnej stali i przestrzeń nad sprzęgiem. Chciałem jej dać znak, żeby odeszła. W drugim końcu wagonu miała szansę przeżyć. Ale nie zrobiłem tego. Nie mieliśmy kontaktu wzrokowego, a ona i tak by mnie zignorowała. Znam Nowy Jork. Wariackie gesty w nocnym metrze nie robią na nikim wrażenia.

Drzwi pozostały otwarte trochę dłużej niż zwykle. Przez krótką szaloną sekundę zastanawiałem się, czy nie wygonić wszystkich z wagonu. Nie zrobiłem tego. To byłaby komedia. Zaskoczenie, niezrozumienie, być może bariery językowe. Nie wiedziałem, jak jest po hiszpańsku bomba. Chyba tak samo. A może „bomba” po hiszpańsku oznaczała żarówkę? Szaleniec krzyżący coś o żarówkach niewiele by zdziałał.

Nie, żarówka po hiszpańsku to *bombilla*.

Chyba.

Być może.

Z pewnością jednak nie znałem żadnego z języków bałkańskich. I żadnego z zachodnioafrykańskich dialektów. Chociaż kobieta w sukni mogła mówić po francusku. Część krajów w zachodniej Afryce jest francuskojęzyczna. A ja mówię po francusku. *Une bombe. La femme là-bas a une bombe sous son manteau. Ta kobieta ma bombę pod kurtką.* Afrykanka w sukien-

ce mogłaby mnie zrozumieć. Albo w jakiś pozajęzykowy sposób pojąć, o co chodzi, i po prostu pójść w nasze ślady.

Jeżeli zdąży się obudzić. Jeżeli otworzy oczy.

W końcu jednak nie ruszyłem się z miejsca.

Drzwi się zamknęły.

Pociąg ruszył dalej.

Wpatrywałem się w pasażerkę numer cztery. Wyobraziłem sobie jej smukły błądy kciuk spoczywający na ukrytym przycisku kupionym prawdopodobnie w sklepie Radio Shack. Niewinny element do montażu, dla hobbystów. Kosztujący pewnie półtora dolara. Wyobraziłem sobie płataninę przewodów, czerwonych i czarnych, owiniętych taśmą, odizolowanych i podłączonych. Gruby lont detonacyjny wychodzący z torby, wciśnięty pod jej kurtkę, łączący dwanaście albo dwadzieścia zapalników w długą, zabójczą, równoległą drabinę. Prąd elektryczny płynie prawie tak samo szybko jak światło. Dynamit jest niesamowicie silny. W zamkniętym pomieszczeniu, jakim jest wagon metra, samo ciśnienie mogło sprasować nas na miazgę. Gwoździe i łożyska kulkowe były kompletnie zbędne. To tak jakby ktoś strzelał do lodów. Bardzo niewiele by z nas pozostało. Fragmenty kości wielkości pestek winogron. Nienaruszone mogłyby przetrwać kowadełko i strzemiączko z ucha wewnętrznego. Są najmniejszymi kośćmi w ludzkim ciele i z tego względu najmniej narażonymi na trafienie przez grad szrapneli.

Patrzyłem na kobietę. Nie było jak do niej podejść. Dzielili nas trzydzieści stóp. Jej kciuk spoczywał na przycisku. Tanie mosiężne blaszki były oddalone o może jedną ósmą cala i ten niewielki odstęp zwężał się pewnie i rozszerzał w rytmie wyznaczanym przez bicie jej serca i drżenie ręki.

Była gotowa zginąć. Ja nie.

Pociąg toczył się do przodu z charakterystyczną symfonią dźwięków. Szumem wypychanego z tunelu powietrza, kłopotem złączy kompensacyjnych, które stukwały o żelazne krawędzie, chrobotem odbieraka o trzecią szynę, zawodzeniem silników,

skrzypieniem wagonów, które przechylały się jeden po drugim na łagodnie nachylonych zakrętach.

Dokąd ona jechała? Którędy wiodła trasa linii numer sześć? Czy zamachowiec-samobójca może wysadzić cały budynek? Chyba nie. Gdzie po drugiej w nocy może zgromadzić się duży tłum? Niewiele było takich miejsc. Może w nocnych klubach, ale większość z nich zostawiliśmy już za sobą, a i tak nie wpuszczono by jej do środka.

Wpatrywałem się w nią.

Zbyt intensywnie.

Wyczuła to.

Obróciła głowę powoli i gładko, jakby zaprogramowała sobie wcześniej ten ruch.

Spojrzała prosto na mnie.

Nasze oczy się spotkały.

Wyraz jej twarzy się zmienił.

Domyśliła się, że wiem.

## 4

Patrzyliśmy na siebie prawie przez dziesięć sekund. A potem wstałem z ławki. Rozstawiłem szeroko stopy, dostosowując się do ruchu pociągu i dałem krok do przodu. Nie było wątpliwości, że siedząc trzydzieści stóp od niej, zginę. Podchodząc bliżej, nie narażałem się ani trochę bardziej. Minąłem siedzącą po lewej stronie Latynoskę. Siedzącego po prawej faceta w koszuli NBA. Siedzącą po lewej kobietę z zachodniej Afryki. Nadal miała zamknięte oczy. Idąc, łapałem się na zmianę uchwytów po lewej i prawej stronie. Pasażerka numer cztery nie spuszczała mnie z oczu. Przerażona i zdyszana mamrotała coś pod nosem. Nie wyjęła rąk z torby.

Zatrzymałem się sześć stóp od niej.

— Naprawdę chcę się w tej sprawie mylić — powiedziałem.

Nie odpowiedziała. Jej usta się poruszały. Jej ręce przesunęły się pod grubym czarnym brezentem. Duży obiekt w torbie zmienił położenie.

— Chciałbym zobaczyć pani ręce.

Milczała.

— Jestem gliniarzem — skłamałem. — Mogę pani pomóc.

Milczała.

— Możemy porozmawiać — powiedziałem.

Nadal nie odezwała się ani słowem.



Puściłem uchwyt i opuściłem ręce, dzięki czemu mogłem wydać się mniejszy. Mniej groźny. Stałem na tyle nieruchomo, na ile pozwalał mi jadący pociąg. Nic nie robiłem. Nie miałem wyboru. Jej potrzebny był ułamek sekundy. Mnie trochę więcej czasu. Tyle że właściwie nie mogłem nic zrobić. Mógłbym złapać jej torbę i próbować ją wyrwać. Ale pasek, na którym ją zawiesiła, był szeroki i zrobiony ze splecionej ciasno bawełny. W podobny sposób jak wąż strażacki. Został fabrycznie sprany i postarzony, lecz mimo to był nadal bardzo mocny. W najlepszym razie udałoby mi się ściągnąć ją z siedzenia na podłogę.

Tyle że chyba nie zdążyłbym się do niej zbliżyć. Wcisnęłaby przycisk, zanim moja ręka znalazłaby się w połowie drogi.

Mógłbym spróbować szarpnąć torbę do góry i złapać drugą ręką przewody, żeby wyrwać lont detonacyjny. Tyle że ze względu na konieczność zapewnienia jej swobody ruchu, lont mógł być długi. Moja ręka musiałaby zatoczyć łuk o długości półtorej stopy, zanim napotkałbym jakiś opór. Tymczasem ona mogłaby nacisnąć przycisk nawet pod wpływem mimowolnego szoku.

Mógłbym złapać za jej kurtkę i spróbować wyrwać inne przewody. Dzieliła mnie jednak od nich gruba warstwa gęsiego puchu. I śliska nylonowa powłoka. Nie zdołałbym przez nią nic wyczuć.

Żadnej nadziei.

Mógłbym spróbować ją unieszkodliwić. Uderzyć mocno w głowę, znokautować jednym szybkim ciosem. Ale mimo że nadal jestem dość szybki, zadanie ciosu z odległości sześciu stóp musiałoby trwać prawie pół sekundy. Tymczasem ona musiała tylko przesunąć kciuk o trzy milimetry.

Zdążyłaby pierwsza.

— Mogę usiąść? — zapytałem. — Obok pani?

— Nie — odparła. — Niech pan się do mnie nie zbliża.

Neutralny, bezbarwny głos. Brak wyraźnego akcentu. Amerykanka, ale mogła być z każdej części kraju. Z bliska nie wydawała się wcale szalona lub niepoczytalna. Robiła po prostu

wrażenie zrezygnowanej, przestraszonej i zmęczonej. Wpatrywała się we mnie z taką samą intensywnością jak przedtem w okno. Robiła wrażenie czujnej i w pełni świadomej. Baczenie mnie obserwowała. Nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem nic zrobić.

— Jest późno — powiedziałem. — Powinna pani poczekać na godzinę szczytu.

Milczała.

— Za sześć godzin — dodałem. — Będzie o wiele lepszy efekt.

Jej ręce poruszyły się w środku torby.

— Nie teraz — powiedziałem.

Nie odezwała się.

— Tylko jedną. Niech mi pani pokaże jedną rękę. Nie potrzebuje pani obu.

Pociąg ostro zahamował. Zatoczyłem się lekko do tyłu, po czym dałem krok do przodu i podniosłem rękę, żeby złapać uchwyt pod sufitem. Miałem wilgotne ręce. Stał wydawała się gorąca. Grand Central, pomyślałem. Ale myliłem się. Wyrzałem przez okno, spodziewając się, że zobaczę światła i białe ściany, lecz ujrzałem tylko słaby blask niebieskiej lampy. Stawaliśmy w tunelu. Przerwa techniczna albo semafor.

Odwróciłem się z powrotem.

— Niech mi pani pokaże jedną rękę — powtórzyłem.

Kobieta milczała. Patrzyła na mój brzuch. Kiedy podniosłem rękę, T-shirt podjechał w górę, odsłaniając bliznę tuż nad paskiem spodni. Gruzłowata biała skóra. Prymitywne wielkie szwy jak w kreskówce. Ślad po odłamku bomby umieszczonej w ciężarówce w Bejrucie, dawno temu. Znajdowałem się sto jardów od miejsca eksplozji.

Byłem dziewięćdziesiąt osiem jardów bliżej kobiety siedzącej na ławce.

— Niech mi pani pokaże jedną rękę — powtórzyłem.

— Po co? — zapytała.

— Nie potrzebuje tam pani obu.

— Więc co panu z tego przyjdzie?

— Nie wiem — odparłem.

Tak naprawdę nie miałem pojęcia, co robię. Nie jestem wykwalifikowanym negocjatorem. Mówiłem po prostu, żeby coś mówić. Co jest dla mnie nietypowe. Na ogół jestem milczkiem. Statystycznie jest bardzo mało prawdopodobne, żebym zginał w połowie zdania.

Może dlatego z nią rozmawiałem.

Kobieta poruszyła rękoma. Zobaczyłem, że przekłada coś w torbie do prawej ręki i powoli wyjmuje z niej lewą. Miała niedużą bladą dłoń, na której widać było żyły i ścięgna. Dłoń osoby w średnim wieku. Zwyczajne, przycięte krótko paznokcie. Żadnych pierścionków. Niezameżna i niezaręczona. Obróciła dłoń i pokazała mi jej wnętrze, puste i czerwone, bo było jej gorąco.

— Dziękuję — powiedziałem.

Położyła rękę dłonią w dół na siedzeniu obok, jakby nie miała z nią nic wspólnego. Co w tym momencie było prawdą. Pociąg zatrzymał się w ciemności. Opuściłem ręce. Skraj podkoszulka wrócił na swoje miejsce.

— Teraz niech mi pani pokaże, co jest w torbie.

— Dlaczego?

— Po prostu chcę to zobaczyć. Cokolwiek to jest.

Milczała.

Nie poruszyła się.

— Nie będę próbował pani tego zabrać. Obiecuję. Chcę to tylko zobaczyć. Na pewno pani to rozumie.

Pociąg ruszył z miejsca. Bez szarpnięć, powoli. Potoczył się w stronę następnej stacji. Od której dzieliło nas chyba nie więcej niż dwieście jardów.

— Mam prawo przynajmniej to zobaczyć — powiedziałem.

— Chyba się pani ze mną zgodzi?

Wykrzywiła wargi, jakby tego nie zrozumiała.

— Nie rozumiem, dlaczego miałby pan do tego prawo — odparła.

— Bo biorę w tym udział. I mógłbym sprawdzić, czy jest dobrze zmontowane. Na później. Bo musi pani to zrobić później. Nie teraz.

— Mówił pan, że jest gliniarzem.

— Możemy to załatwić — powiedziałem. — Mogę pani pomóc.

Obejrzałem się przez ramię. Pociąg włókł się jak żółw. Przed nami były białe światła. Odwróciłem się z powrotem. Prawa ręka kobiety poruszała się. Zaciskała ją na czymś mocniej i jednocześnie powoli wysuwała z torby.

Obserwowałem ją. Prawa ręka zaczęła się o coś w środku torby i kobieta pomogła sobie lewą, żeby ją wyciągnąć.

Nie trzymała w niej baterii. Przewodów. Styku. Ani wajchy. Trzymała w niej coś zupełnie innego.